Cena 35 groszy.

ŚWIAT SZKOLNY

MIESIĘCZNIK
wydawany staraniem Samopomocy Szkół Średnich w Częstochowie.

ROK VII. CZĘSTOCHOWA, KWIECIEŃ 1933 ROK. Nr. 4 (45).





ŚWIAT SZKOLNY

MIESIĘCZNIK

wydawany staraniem Samopomocy Szkół Średnich w Częstochowie.

ROK VII. CZĘSTOCHOWA, KWIECIEŃ 1933 ROK. Nr. 4 (45).

Nasze zamiłowania.

Czy je wogóle mamy? Czy interesujemy się sprawami, które bezpośrednio nie łączą się z naszem życiem szkolnem? Przeprowadzona ankieta wykazałaby zupełny brak zamiłowań, i obojętność względem takich zagadnień, których wartość i realne znaczenie zostały dawno przesądzone. Przechodzimy do porządku dziennego nad wydarzeniami, które niesie każda doba, wzruszamy ramionami na wspomnienie o malarstwie, rzeźbie lub muzyce, uśmiechamy się drwiąco słuchając, że ten lub tamten był wczoraj w teatrze. To jest przecież „wygłupianie" się! Tak — rzeczywiście. Wygłupianie się — lecz.....? Kogo mamy posądzać o brak rozsądku, kto właściwie jest tym, któremu odmawiamy słuszności?! Wskazujemy na ulicy ludzi, którzy mają wyrobioną opinję miłośników pewnych działów naukowych, dążących do pogłębienia wiadomości nie zawsze traktowanych w nauce szkolnej. Zarzucamy jednostkom „zacofanie" w pewnych kierunkach, a sami kiwamy z politowaniem głową na wiadomość, że kol. „X" lub „Y" zajmuje się astronomją czy chemją lub medycyną. Pochlebia to nam, że jesteśmy optymistami, że przecież „zawsze jakoś tam będzie", może się uda, a może... Jesteśmy dumni z tego, że głos sumienia zagłuszamy frazesem lub utopijną mrzonką.

A jednak? Czyż ów optymizm (źle zrozumiany) nie prowadzi w prostej linji do egoizmu, samolubstwa, do zaślepienia i otumanienia umysłu, do upadku postępu i kultury? Argumentacja jest zupełnie zbyteczna, lecz głos rozsądku domaga się, błaga i równocześnie nakazuje rozważyć owe nastroje. Życie to ciągły bój, i zmaganie się z losem, to prawdziwa zmora, która zwycięży nas, jeśli będziemy nieprzygotowani. Życie żąda wszechstronnych wiadomości, odporności na ciosy, siły, przygotowania i energji. Inaczej zadrwi z nas okrutna fortuna, zadławi swym rykiem szept, który powinien być głosem mocy, głosem pewności i zaufania w siebie, pełnym rozmachu żywotności i ekspansywności.

Czy szkoła da nam wraz z dyplomem maturalnym—cenzus kultury i „średniego" tylko wykształcenia? Wątpię w to. Gimnazjum nie jest w stanie objąć programem nauczania tego wszystkiego, czego wymaga życie od maturzysty-absolwenta.

Dążenia jednak są, i dlatego winniśmy intersować się nie tylko zadaniami algebraicznemi, czy wypracowaniami szkolnemi, lecz wyjść poza obręb zagadnień codziennych, i nie pozwolić wyprzedzić się innym. Przepaść, która już wytworzyła się między młodzieżą miast o charakterze tym co np. Warszawa. Lwów, Kraków, Poznań — a Częstochową jest olbrzymia i przerażająca. Wystarczy przysłuchać się rozmowie Warszawiaka z „gościem" z prowincji, a zupełnie zbędną rzeczą, będzie kupienie „Muchy" czy „Wolnych" żartów. Niewiedza, brak orjentacji, oczytania, sprawia przykre wrażenie, tem większe, że to właśnie pokolenie, ma spotkać się na

płaszczyźnie pracy i obowiązku względem państwa.

Jak ta praca wyglądać będzie, jakie wyda owoce, jeśli już teraz nie mamy wspólnych zainteresowań, wspólnych celów? Rzecz nie tak błaha na pozór, jak mogłoby się zrazu wydawać. To bardzo ważne zagadnienie — bo przecież i „Polska to wielka rzecz" a Jej wielkość związana z naszym rozwojem, z naszą kulturą duchową. Co więc należy czynić? Przedewszystkiem zacząć pracować w szkole, i to nie tak „pro forma", lecz z całem zamiłowaniem, mając na uwadze dobro organizacji i własne samokształcenie. Najważniejszą rzeczą jest jednak celowy i konsekwentny wysiłek, charakteryzujący się rozwagą i obowiązkowością. Dążenia te nie mogą rozbiegać się w różnych kierunkach, i **musi** wreszcie ustać nienormalny stan, gdzie prezes samopomocy, jest skarbnikiem Koła L. O. P. P-u, drużynowym w harcerstwie, sekretarzem Koła Pracy dla Państwa etc. etc.

Wywołałoby to chaos, i nie przyniosło żadnej korzyści jak jednej tak i drugiej stronie. Pozatem musimy zająć się pracą pozaszkolną, pracą nad samym sobą, i wiadomości zdobyte czy to w szkole ,czy w domu, zastosować w życiu, i wyrabiać sobie o każdej rzeczy własny krytyczny sąd. Lecz o możliwościach tej pracy, o jej potrzebie, kierunkach i zastosowaniu, a co najważniejsze o Waszych zainteresowaniach Koleżanki i Koledzy, chcemy usłyszeć w następnym numerze.

Kazimierz Duszyński, G.P.R.T.

CHARAKTERYSTYKA ROŚLIN.

Miejscowość Olsztyn tem jest dla Częstochowy, czem Wilanów dla Warszawy, lub Bielany dla Krakowa i Zakopane dla całej Polski, posiada bowiem potrójny walor atrakcyjny: zdrowotny, historyczno-legendarny i przyrodniczy. Wielbiciele powietrza olsztyńskiego porównują je z powietrzem zakopiańskiem. Owiany nimbem bohaterskiej obrony Karlińskiego i mrożącą śmiercią wojewody Borkowica, zamek olsztyński jest kopalnią wrażeń dla głów o zabarwieniu romantycznem. Mnie, pobliskiego stałego mieszkańca, o nastawieniu przyrodniczem, wzgórza wapienne olsztyńskie, pociągnęły swą szatą roślinną. Rozpoznając jej zasadnicze składniki i barwy i jej duszę, niemniejszych doznawałem wrażeń, niż wszyscy inni, którzy na nią nie zwrócili uwagi. Jak w eposie Mickiewicza („Kto z nas tych lat nie pomni, gdy młode pachołę, ze strzelbą na ramieniu świszcząc szedł na pole") szedłem i ja na pole, ale nie ze strzelbą, a z „kluczem" na ramieniu. Prawdziwej rozkoszy można doznać tylko w obcowaniu z prawdą, która objawia się cudnie w laboratorjum, w naturze i która prowadzi do najwyższej prawdy — Boga. Najpiękniejszym przejawem duszy roślin jest przystosowanie się do warunków, które, bardzo łatwo, zaobserwować można na skałach Olsztyna i okolic. Zdala zdają się być nagie, zimne, cieszące wzrok najróżnorodniejszemi kształtami, z bliska okazują się siedliskiem życia w każdej szczelince i wyżłobieniu, wypracowanem troskliwie przez wiatr i wodę. Jakiż piękny przykład bezinteresownego świadczenia usług.

W szczelinę taką, która chroni przed żarem słońca w lecie, weiska się mech, zanokcica właściwa, o drobniutkich, pierzasto siecznych, niesymetrycznych listeczkach, zwana skalną rutką, zanokcica — brunatna zwana czerwonemi włoskami, gdyż ogonki liści są brunatne, rojnik latoroślisty z grubemi, mięsistemi, łuskowatemi liśćmi, ułożonemi w małą różyczkę. Roślinka ta nie posiada prawie łodygi i chroni się znakomicie

od braku wody. Możnaby ją porównać do tropikalnych kaktusów. Gdzie podło że jest więcej ziemiste, tam usadawia się rozchodnik ostry, który gromadnie tworzy żółte plamy, macierzanka emanująca przyjemny zapach, pięciornik po łożony, o żółtych pięcio - płatkowych kwiatkach, dzwonek główkowaty. Wszystkie te rośliny nie sięgają 20 cm. i porastają nawet najwyższe skupienia skał. U podnóża wzgórz rośnie szałwia lekarska i okręgowa, o niebiesko - fiołkowych, wargowych kwiatach, z różowatych: żółty rzepak pospolity i poziomka, z wilczomleczowatych żywo - zielony wilczomlecz cyprysowy, z trędownikowatych: dziewanna i przetacznik. Wśród krzewu tarniny występuje zanikający pierwiosnek lekarski. Jedyne stanowisku przebiśniegu, zakwitającego już w lutym, znalazłem na górze zwanej Ostrężnikiem koło Złotego Potoka. Porasta on ją tak bujnie, że szczyt wzgórza już po zniknieniu śniegu, wygląda jak płatem śniegu nakryty. Koło Turowa, na łące, znajduje się jedyne stanowisko przebiśniegu, zakwitającym jest zawilec biały i przylaszczka. Na Zielonej Górze znaleźć można fioletową sasankę. Z krzewów zasługuje na uwagę rzadka w Polsce kłokoczka, hodowana w Przymiłowicach i w tejże wsi 8-mio metrowy jałowiec. Wśród lasu bukowo - sosnowego rośnie jodła. Do rzadkich drzew należą modrzewie w Zrębicach i cis koło Przybynowa.

W przechadzkach moich poznałem te wszystkie charakterystyczne osobniki flory Olsztyna i okolic. Jakież zadowolenie ogarnia mnie wówczas, gdy w każdej następnej przechadzce spotykam je,, już jako dobrych znajomych. Wiele rozkoszy daje całoroczna obserwacja, poczynając od wiosny, gdy w przyrodzie rozgrywa się jej największe mister jum. Przedziwne przejawy wśród roślin zdają się objawiać ich duszę. Zamiast jej stawia się u roślin instynkt. Czemże jest instynkt? Czy człowiek, posiadający rozum, jest lepiej uprzywilejowany?

Zbigniew Ziółkowski, 8-a. G. P. H. S.

„JANUSZ“.

Sielanka.

Janusz — Wiesław — Jerzy.

Janusz: Gdy nauki już nudy ogromne minęły, dwa bohatery z sobą do walki stanęły, obaj znani z rozumu, obaj do zabawy, obaj zdatni do tańca, do zdobycia sławy. Właśniem miał iść do domu, kiedy do mnie rzekli, abym stał się im sędzią. Obaj byli wściekli, z zawiścią sobie w oczy i gniewem patrzyli, jam z kolei pamiętał, co oni mówili. Stanąłem i słuchałem, jeden głupstwa gadał, drugi mu taką samą miarką odpowiadał.

Wiesław: Zosiu moja nadobna, ja stale cię kocham i na twoje wspomnienie, o najmilsza, szlocham. W uszach dzwoni mi zawsze twój głosik przemiły, by twą piękność opiewać, nie stanie mi siły.

Jerzy: Cudniejsza ponad róże, bielsza nad lilije, pamiętał będę zawsze twoje włosy, szyję, twoje rączki i oczki wciąż zezem patrzące, twoją twarz piegowatą, twe usta gorące.

Wiesław: Na niebie błyszczą gwiazdy, srebrny księżyc płynie, róża znana z piękności, fjołek z woni słynie, znane z blasku djamenty, rubiny, opale, ale, które ty lubisz, te tylko pochwalę.

Jerzy: Sławne górskie kaskady i fal morskich zwały i góry i przepaście ze swej znane chwały, ale większą się sławą, droga, cieszyć będziesz, gdy pośród tych piękności piękniejsza zasiędziesz.

Wiesław: Widzę słońce wysoko po niebie błądzące, widzę gaje zielone i potoki rwące, kwiaty wszędy na łąkach, kędy modre zdroje, ale zawsze podziwiać będę piękność twoję.

Jerzy: Widzę śniegiem pokryte doliny i góry, widzę zamieć śniegową, słyszę jęk wichury, lecz siedząc przy ko-

OPIEKUNOWI MŁODZIEŻY P. PREZESOWI BOL. BYSTYDZIEŃSKIEMU.

Przebrzmiały mosiężne głosy trąb, przebrzmiały pożegnalne mowy. Nad smutną mogiłą jeno wiatr lekki zajęczy z cicha. Kto tu spoczywa snem wiecznym?... Co zacz On jest?... A w ciszy umarłej może zaszumią cmentarne drzewa: „Szarym legjonistą był On, co w małej garstce z swym Wodzem na czele szli w bój. Ich serce, ich pierś gorzała miłością Ojczyzny i WODZA! Na ostrzach bagnetów iskrzyło się słońce. a w oczach Zwycięstwo i Polska! I szli... Przez krew, przez ból, do jasnych Wolności bram! Po walce i trudzie wojennym nie spoczęli. Szli znowu Wiedzą i Duchem Wielkiej Idei budować Polskę. A jednym z Nich był On". Tak. Nie spoczął na laurach po Zwycięstwie. Szedł wciąż naprzód i szarą Swą pracą uczył i przewodniczył młodzieży. Przez szereg lat pracował wytrwale aż... do końca. I odszedł na zawsze, do lepszej, jaśniejszej przyszłości. A na tym ziemskim padole ból i łzy nie obeschłe po Nim pozostały i świadomość wspólnie przeżytych chwil.

Marjusz Wodzicki, kl. V, G.R.T.

minie nie znam, co to burze, gdy twe oczy przypomne i usta w purpurze.

Wiesław: Ja dla ciebie, najdroższa, chodzę na wieczorki, chociaż belfry mi w budzie dwój wciąż sypią worki, ja się tem nie przejmuję i tańczę do rana: walce, tanga, fokstroty z tobą, ukochana.

Jerzy: Ja dla ciebie, najmilsza, uczyć się przestałem, dla ciebie się baranem, durniem, osłem stałem, ty przyjm me poświęcenie i rzeknij choć słowo, że mnie kochasz, najdroższa, snów moich królowo.

Wiesław: Z mórz fali wynurzona Afrodyte boska pozwól, by serca nasze omijała troska, każ co prędzej małemu twemu łucznikowi, by serca nam połączył, każże Erosowi.

Jerzy: O Tyche, ty bogini szczęścia i radości, pamiętaj, proszę, zawsze o naszej miłości, niechaj troska i smutek zawsze nas omija i szczęścia nie przerywa zdradna ręka czyja.

Janusz: Skończyli i powiedli po mnie wzrokiem oba, lecz nie mogłem powiedzieć. co mi się podoba, bom z początku do końca nie uważał wcale, ani wiedział, kto będzie w błogiej chodził chwale. Lecz wyrok wydać trzeba, o tem pamiętałem i wnet, jako i zwykle, kanciarzem się stałem. Jeden za wyrok ściągę dałby mi z łaciny, drugi z matematycznych zadań dziesięciny składałby przez czas długi codziennie w haraczu, mnie zaś milsza łacina, przyznaję wśród płaczu, więc Jerzego zwycięstwo wznosząc pod niebiosy, „wszystkimi — poprosiłem — zakrzyknijmy głosy: Jerzy niechaj nam żyje, niechaj chodzi w sławie!" Lecz radość się skończyła rychło w tej zabawie, bo Wiesława stronnicy, będąc z sobą w zmowie, ułapili mnie wkrótce i dali po głowie.

M. Jędrkiewicz, VII kl. G. P. H. S.

Stracona przyjaźń.

Nowela.

Nie wiele o nim w szkole wiedziano. W rozmowy z nikim się nie wdawał, w zadnych dyskusjach głosu nie zabierał, o sobie nigdy nic nie mówił. Przychodził do szkoły na dwie, trzy minuty przed dzwonkiem, wychodził zwykle pierwszy. Pauzy spędzał zawsze w odosobnieniu, nad książką. Ulubionem jego miejscem była ławka przy dużem weneckiem oknie z którego roz ciągał się widok na pola, sady i podbył w klasie bardzo. Jego usłużność i grzeczność zjednywały mu sympatję ciekawość kolegów nie dawała mu jed nak spokoju. Używano nawet podstępów by go wciągnąć do rozmowy, by

coś dowiedzieć się o jego życiu. Ostatecznie ktoś dowiedział się, że „sfinks“ (tak go w klasie nazywano), mieszka, gdzieś na przedmieściu, że jest synem ubogiej wdowy pracującej w Kasie Chorych. Więcej jednak, nikt się o nim nie dowiedział, wszelkie próby zasięgnięcia bliższych wiadomości spełzły na niczem. Ja jeden nie zrezygnowałem. Polubiłem go bardzo, od pierwszego zetknięcia się z nim i przyrzekłem sobie w duchu, że muszę zostać jego przyjacielem i przyrzeczenia dotrzymałem.

W czasie jednej z pauz siedział „sfinks“, jak zwykle z książką przy oknie, nie czytał jednak. Wzrok jego utonął, gdzieś w sadach obsypanych kwieciem, przenosił się na zielone już pola, błądził po czerwonych dachach domów. Stałem przy nim, ale zbliżyć się nie miałem śmiałości. „Dlaczego ty mu przeszkadzasz, dlaczego mu nie dajesz spokoju“? zarzucał mi głos wewnętrzny. Stałem przy nim onieśmielony, jak dziecko — ja, który swą śmiałością wszystkich dziwiłem, a ostrym dowcipem wszystkich wyszydzałem, teraz słowa przemówić nie umiałem. Chrząknąłem znacząco, chcąc zwrócić na siebie uwagę. Zmieszał się ujrzawszy mnie, schował książkę i chciał odejść. Zatrzymałem go jednak. „Można zobaczyć jaką macie książkę“ (mówiliśmy mu wszyscy na „wy“) — zagadnąłem go jak najuprzejmiej. Podał mi książkę bez słowa. Zdziwiłem się niepomiernie ujrzawszy książkę napisaną w języku rosyjskim. Przewróciłem parę kartek i poznałem z rysunków, że jest to podręcznik do nauki astronomji. Widząc malujące się zdziwienie na mojej twarzy, uważał za stosowne dać mi parę słów wyjaśnienia. Poważnych dzieł z zakresu astronomji nie mógł dostać, pozostało mu parę podręczników po ojcu, w języku rosyjskim, ale że kochał tę naukę (dosłownie powtarzam „kochał“) nauczył się tego języka. Wyczułem, że chce mówić coś o tej „kochanej astronomji“, dałem mu więc do zrozumienia, że chętnie będę słuchał (chociaż przyznam, że wtedy ta astronomja nie była dla mnie wcale „kochana“). Mówił długo, operował popularnemi pojęciami (spostrzegł pewnie, że wiele z tej astrononomji nie wiedziałem), wymieniał nazwiska polskich astronomów, opowiadał o ostatnio poczynionych badaniach na polu tej ciekawej nauki. Mówił podniesionym głosem, z zapałem, żalił się na brak poszanowania tej potężnej nauki, „która człowiekowi nowe otwiera światy, czyni go zdobywcą nowych tajemnic, strzeżonych zazdrośnie przez naturę“. „Widzieliście kiedy wieczorem niebo przez lunetę astronomiczną“ — zapytał mnie. „Nie“ odpowiedziałem szczerze. „To też właśnie, ale poetyczny zachód słońca, taki piękny, rozmawiający, to każdy widział, każdy widział“ — rzekł głucho — „To zewnętrzne piękno, widzi się zawsze, nad niem się rozczula, ale poznać je nikt głębiej nie pragnie“. Był to jakby zarzut skierowany do wszystkich. Znikł ten dziwny blask z jego oczu, głowa silniej się pochyliła, nagłym ruchem wyrwał mi książkę i chciał odejść. „Zygmunt“ zawołałem. Na dźwięk swego imienia, którego nikt jeszcze w klasie nie wymówił, wrócił się.

„Widzisz, zacząłem nieśmiało, może nauczyłbyś mnie coś z tej astronomji. Ja tak chciałbym“... „Ty, ty naprawdę“ krzyknął zdziwiony i oczy jego nabrały znów tego dziwnego blasku. „Wiesz przyjdź do mnie, ale nie, ty nie przyjdziesz. Wiesz gdzie ja mieszkam na Gnaszyńskiej, to taki kawał, pewnie nawet nie wiesz gdzie to jest“? Rzeczywiście, nie wiedziałem, ale zapewniłem go, że przyjdę, bo wiem gdzie jest Gnaszyńska ulica (szukałem potem w planie tej ulicy). Tak zawarłem bliższą znajomość z tym niedostępnym kolegą szkolnym, która mnie wkrótce tyle sprawiła przykrości.

— — — — — — — — — — — — —

Dotarłem wreszcie na Gnaszyńską. Czekał na mnie już przed bramą swojego domu. Weszliśmy do małej, ciemnej, skromnie umeblowanej izdebki. Na stole i oknie leżały stosy książek, papie-

rów z kreśleniami, tuszów i różnych przyrządów rysowniczych. Usiadłem przy stole. Zaczął mi objaśniać podstawowe pojęcia z zakresu astronomji. Słuchałem chętnie i szybko pojmowałem, dodawałem swoje objaśnienia, które wykazywały, że nie są to dla mnie zbyt trudne zadania. Cieszył się z tego bardzo, próbował nawet żartować. Oglądałem wszystkie wykresy, (nadzwyczajnie starannie wykonane), tabliczki pozawieszane na ścianach, pełne jakichś dziwacznych znaków, dat i funkcyj kątów. Odnosiłem wrażenie, że jestem w pracowni jakiegoś uczonego, a nie w mieszkaniu swojego kolegi. Widział to moje zdziwienie i nie mógł powstrzymać się od śmiechu. „Nic nadzwyczajnego, nic nowego pod słońcem, a ty robisz takie miny, że“...

Od tego czasu przychodziłem do niego prawie codziennie. Zżyliśmy się tak ze sobą, że trudno nam było obejść się bez siebie. Ta nasza zażyłość była przedmiotem różnych domysłów w klasie. „Teraz się nareszcie coś dowiemy“ przypuszczano, ale ja nic nie powiedziałem. Śmiechy, dowcipy, drwiny — wszystko zniosłem. Jaka przyjemna i ciekawa była ta nasza nauka. Siedzieliśmy przy stole, ramie przy ramieniu, czytaliśmy, notowaliśmy i dzieliliśmy się wiadomościami, a co chwilę wykrzy krzykniki. „Słuchaj no! Poczekaj! Obliczymy!“ Sinusy, cosinusy, tangensy, logarytmy i potem radosny wykrzyknik: „Jest, rzeczywiście prawda, a to ciekawe!“ Około dziesiątej wieczorem przerywaliśmy swe prace. Snuliśmy potem plany na przyszłość — bogate, śmiałe plany. Widzieliśmy już to nasze obserwatorjum astronomiczne. (Zygmunt narysował nawet jego projekt). To obserwatorjum miało być dostępne dla wszystkich, bo przecież wszyscy powinni mieć jakieśkolwiek pojęcie o tym „drugim świecie“. Pracy tej, która nas czekała, żaden z nas się nie obawiał. Pełni nadziei, zahartowani w trudach i niewygodach, przyzwyczajeni do pracy od dziecka, uwielbiający ją wprost, śmiało o niej myśleliśmy. „Ale czy my cel swój osiągniemy“ ośmieliłem się raz zapytać. „Co ty wątpisz“? huknął na mnie tak silnym głosem, że poderwałem się na krześle. Z oczu jego biła taka moc i energja, taka śmiałość i wiara, że od od tej chwili uwierzyłem w nasze plany bardzo głęboko. Ślicznie wyglądał on w chwilach tego swojego uniesienia. Czarna bujna czupryna opadająca mu na wysokie czoło, dwoje czarnych oczu wyglądających z pod krzaczastych brwi (gromy rzucających w takich chwilach), zgrabne wąskie zaciśnięte usta, czyniły go bardzo pięknym, podobnym do jakiegoś pół boga.

„Nie, nie wątpię, odpowiedziałem, ściskając mu dłoń.

O jedenastej wieczorem wracałem do domu. Nie widziałem błota, ani kałuż, nie czułem zimnego wiatru, smagającego mi twarz, nie słyszałem groźnych pijackich okrzyków, które często rozlegają się na przedmieściach. Po ziemskim stąpałem padole, ale inny świat widziałem, oddychałem tchnieniem innego życia. Widziałem świat gwiazd i planet — świat naszej wspólnej z Zygmuntem przyszłości.

— — — — — — — — — — — — —

I straciłem go z oczu może na zawsze.

Zastałem go w domu smutnego i roztargnionego. Nie szła nam praca jakoś tego wieczoru, nie rozmawialiśmy ze sobą prawie wcale. Przy odejściu rzekł do mnie: „Wiesz musimy się rozstać. W tym tygodniu wyjeżdżam, będę mieszkał w Równem. Stosunki rodzinne zmuszają mnie do tego wyjazdu. No, ale zobaczymy się jeszcze“ dodał widząc smutek i zdziwienie na mojej twarzy.

„Przecież zobaczymy się jeszcze w Warszawie na studjach“ pocieszał mnie dalej. Wyjeżdża, wyjeżdża, może się nigdy już z nim nie zobaczę. Stracę tę najlepszą przyjaźń, ja nie będę mógł żyć bez niego. Taki już mój los. Muszę się rozstawać zawsze z tymi, których pokochałem, zawsze zostaję sam jeden opuszczony przez wszystkich. Pożegnaliśmy się czule, (nawet wstydzę się przyznać, mieliśmy łzy w oczach) i przyrzekliśmy sobie szczerze, że zamia

Z okazji Świąt Wielkiej Nocy, życzymy wesołego spędzenia feryj i należytego wypoczynku wszystkim Czytelniczkom i Czytelnikom, a pomyślnego wyniku egzaminów maturalnych: maturzystkom i maturzystom.

REDAKCJA.

ry nasze zrealizujemy w najbliższej przyszłości napewno.

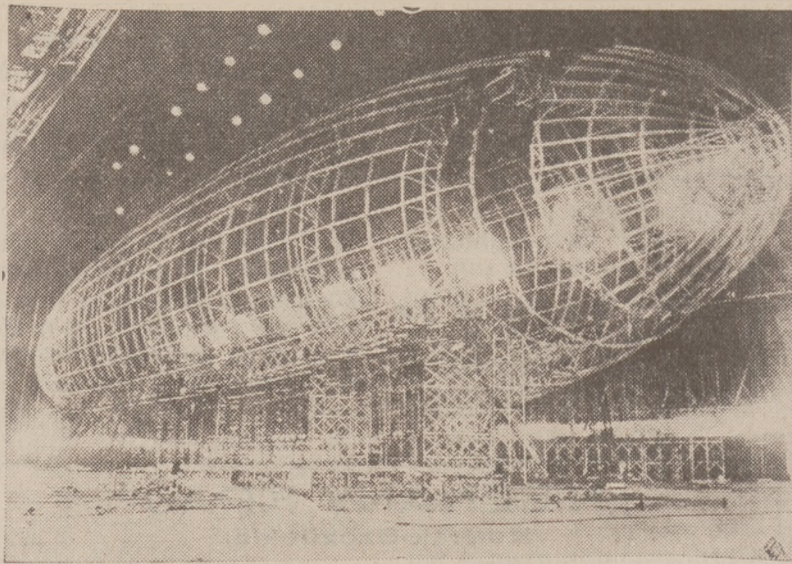
Otrzymuję od niego listy, ale już bardzo rzadko, widocznie jest bardzo zajęty, on zawsze tak wiele pracował. Za to ja pisze do niego bardzo obszerne listy. Zdaję mi się, że rozmawiam z nim. Nie widzę go już jednak, nie widzę tego kochanego Zygmunta i może go już nigdy nie zobaczę — a może „los szczęścia rzuci nas znów w swoje objęcia“. O! jakżeż byłbym wtedy szczęśliwy.

M. Prażmowski, G. P. H. S.

„NIEZNANY KRAJ“
Kossak-Szczuckiej.

Trzecią z kolei pracą Kossak-Szczuckiej opartą na dziejach Śląska jest „Nieznany kraj". Dzieje te, zapoczątkowane przez Bolesława Chrobrego walką z naporem niemieckim nad Odrą, a zakończone zwycięskim marszem powstańców 1921 r, ujęła autorka w formie szeregu samodzielnych nowel - obrazków związanych ściśle przewodnią ideą, ideą obrony przed zalewem germańskim. Wszystkie zdarzenia, postacie i całe tło, na którem rozgrywają się poszczególne wypadki, są wiernym obrazem opartym na ścisłych studjach historycznych i gruntownej znajomości Śląska. Dla szerszego ogółu Śląsk był krajem nieznanym. Z chwilą kiedy wszedł w granice Polski, starajmy się poznać wszystkie jego wartości. Nie zwracajmy uwagi na bogactwa Śląska, ale wniknijmy w głąb duszy Ślązaka. Wnosi on niezwykle bogate i twórcze walory do psychiki narodu polskiego. które powinny nam służyć jako wzór cnót wytrwania, stalowego hartu ducha i poświęcenia. Przekreślijmy błędy przeszłości i trwajmy uparcie jako jeden naród nad Odrą, oto hasło książki. Oprócz walorów historycznej rzeczywistości największą wartość tej książki stanowią piękne opisy przyrody; jak opis pierwoboru śląskiego z całą krasą drzew i zwierząt, pełnego dziwnych duchów. Obrazowo i plastycznie przedstawia. nam autorka opis kopalni, hut żelaznych i zakładów chemicznych w Chorzowie gdzie obserwacja autorki znajduje wyraz w słowie doskonale pięknem i celowem. Inaczej rzecz się ma z sylwetką i psychologją licznych postaci historycznych, związanych z dziejami Śląska od Bol. Chrobrego do posła Korfantego i wojewody Grażyńskiego. Trafiają się w tym zakresie rzeczy udatne, żywo i przekonywująco wypadła postać ks. Londzina, a także typowe postacie dwóch górali, skazanych na dożywotne więzienie. Nie udało się autorce zdramatyzować materjału historycznego w rozprawach, djalogach i rozmyślaniach tych ludzi jest jakaś sztuczność. Czuje się, że mówią dla tego żeby nas poinformować o swej roli i znaczeniu historycznem, a nie dlatego, że tak wynika z ukazanej w noweli aktualnej sytuacji. „Nieznany Kraj“ ma walory historyczne umożliwiające poznanie Śląska jak najszerszym kołom społeczeństwa. Jest ona bogatem zbiorem wiadomości o Śląsku o jego historji i ludziach zasłużonych w walce o polskość i jego bogactwach, z tego powodu książka ta zasługuje na jak największą poczytność.

J. Szecówka, G. P. J. S.



Sterowiec amerykański „Akron”, który uległ niedawno katastrofie.

Fragment z życia żeglarskiego.

Olbrzymie fale, któremi w tym dniu było jezioro Charzykowskie uzbrojone, unosiły naszą żaglówkę z łatwością, podrzucały nią jak piłką.

Łódź co chwila kładła się na boki, że nawet końce żagla maczały się w wodzie. Trzeba było pilnie uważać na ster i główny żagiel, gdyż najmniejsza nieuwaga mogłaby spowodować katastrofę, która, trzeba zaznaczyć, w skutkach byłaby fatalna, ponieważ znajdowaliśmy się daleko od brzegu, a każdy z nas był grubo ubrany ze względu na silny i mroźny wiatr, co w razie katastrofy utrudniałoby pływanie.

Tak samo sytuacja przedstawiała się z innemi żaglówkami, które wraz z naszą brały udział w ćwiczeniach.

Nagle na szczycie masztu głównego, znajdującego się na lądzie przed budynkiem, w którym mieliśmy pomieszczenie, ukazał się umówiony sygnał wzywający nas do portu. Jedna z żaglówek, ujrzawszy go wykonała odpowiedni zwrot w celu wykonania rozkazu, lecz tak niezręcznie, że bokiem wywróciła się na powierzchnię wody, a białe płótno żagla, które tak dumnie sterczało nad łodzią i wytrzymywało gniewnie podmuchy wiatru, poszło śladem łodzi i rozpostarło się całą swą powierzchnią na wodzie, grzebiąc pod sobą fale, które właśnie zamierzały zadać ostateczny cios konającej łodzi. Świadków tej sceny strach ogarnął, albowiem widzieli jak kilku z załogi wywróconej łodzi wpadło pod wodę, i zachodziła obawa, że będą się starali wypłynąć właśnie pod żaglem, a wówczas zajęci szukaniem swobodnej powierzchni do wypłynięcia, zużyliby ten szczupły zapas powietrza, który zdążyli złapać wpadając do wody.

Całe szczęście, że tylko skończyło się na strachu, bo nasze przypuszczenia minęły się z rzeczywistością i „topielcy“ wypłynęli szczęśliwie na powierzchnie, a następnie przy naszej pomocy wydostali się na naszą łódź.

Druga żaglówka zajęła się przyciągnięciem wywróconej łodzi do brzegu.

Następnie, gdy nasza żaglówka zgod-

nie z rozkazem dobiła do boji (nasza łódź przybiła ostatnia) zauważyliśmy, że sąsiednia łódź powoli się oddala, a powinna być przy naszej, gdyż do tej samej boji była uwiązana.

Wkońcu zorjentowaliśmy się, że nie jest ona uwiązana, jak dotychczas myśleliśmy, że boja tą stroną, którą była uwiązana do linki obróciła się do dna i dlatego nie było widać końca linki. Na podniesienie żagla u nas nie było czasu, gdyż wiatr przez ten czas porwałby tamtą łódź i poniósł, gdzie na brzeg, przez co oczywiście mogłaby się uszkodzić. Musieliśmy gonić ją wiosłując. Gdyśmy ją przytrzymali musieliśmy podnieść wtedy żagiel, gdyż na wiosła trudno było wracać.

W czasie gdym podnosił zagiel, łódź nagle tak się przechyliła pod silnym podmuchem wiatru, że chcąc nie chcąc musiałem zażyć kąpieli. Myślałem, że naszą łódź taki sam los spotkał jak tamtą, o której wyżej pisałem. Wystawiłem więc jedną rękę do góry, a drugą starałem się wypłynąć na wierzch. W ten sposób sprawdziłbym, czy jest przykryty żaglem. Wreszcie poczułem, że ręka ma już wydostała się ponad powierzchnię nie napotkawszy oporu, wtedy śmiało wychyliłem głowę i spostrzegłem jakby przez mgłę, gdyż ściekająca z włosów woda zasłaniała mi widok, jak obie łodzie szybko oddalały się. Wykonałem dwa jakgdyby skoki i uchwyciłem się burty holowanej łodzi, lecz ręka ma nie znalzała punktu zaczepienia i ześlizgnęła się. Wykonałem drugi błyskawiczny skok i uchwyciłem się rączki steru, która akurat na tę stronę była przechylona, następnie w jednej sekundzie wciągnąłem się na łódź. Działo się to wszystko, tak szybko, że zanim moi koledzy zdążyli przyjść z jakąkolwiek pomocą (czy to rzucenie linki) czy to podanie wiosła i t. p.) znajdowałem się na łodzi, przemoczony, jak kura po deszczu.

W. Grandys, kl. VI-a.

NOWELA.

Śnieg padał bez przerwy, sypiąc białemi płatkami w mroźnem powietrzu. Pod białym jego całunem spoczywały lasy, pola, osiedla ludzkie, ginęły krańce widnokręgu w szarym mroku styczniowego dnia.

Drogą, wiodącą do miasta, szedł młody chłopiec z tobołkiem na plecach. Twarz jego wyrażała przebyte cierpienia, choć w oczach marzących i młodych jaśniało męstwo i choć do czynu. Twarz ta surowa, pełna powagi, stanowiła wielki kontrast z całą postacia uosobieniem bólu fizycznego...

Wschodni wiatr urósł w wielką siłę, zasypywał tumanami sterczące głazy, pieńki, chaty..., budził drzewa w lesie, napełniał świat swym jękiem ciągliwym, pełnym brzmień cichych,—lecz srogi.

...Śnieg padał bez pzerwy.

*
* *

Postać małego wędrowca wymownie świadczyła o jego cierpieniu, oczy podkrążone sińcami nadawały twarzy jego wyraz niemej zgryzoty i bólu.

Biedna głowa była otulona w spłowiałą, połataną chustczynę, przepuszczającą wiatr, który, smolącymi ciosami, biczował nędzne ciało chłopczyny.

Lecz biedna głowa mieściła w sobie plany i myśli godne człowieka myśliciela, mieściła w sobie swą dolę — swój stan.

Szedł zamyślony — wstrząsany od czasu do czasu dreszczem... Myślał on o swej biednej, chorej matce, którą w chacie zostawił daleko, het za sobą. — Myślał on o jej ratunku i szczęściu swoim... — Myślał o nieznanym mieście, w którem miał być on „dokór“, główny

cel, do którego z żelazną wytrwałością dążył już trzeci dzień zrzędu o kawałku suchego chleba. — Myślał on o bliskim celu wyratowania matki.

On! syn jej ukochany!

A śnieg padał i padał... Wiatr chwilami wzmagał się, szarpiąc ostatnie szczątki ubrania, jeśli możnaby nazwać to ubraniem, chłopca, to znów milknął, by powtórnie z większą siłą uderzyć w biednego. Złowieszcze poświsty wichru wstrząsały boleśnie ciałem chłopca i targały szaty jego, kłując w twarz zarumienioną gorączką. Oczy szkliste biegły het daleko za siebie, rzucając może już ostatnie spojrzenie na widnokrąg, za którem zostawił matkę, dom i ziemię rodzinną, gdzie spędził swą nieszczęśliwą młodość. Mimo tego, że wicher szarpał jego nerwami i rzucał nim na wszystkie strony — on szedł... Rozgorączkowane oczy utkwił w szare niebiosa, szukał wśród płatków śniegu — nadziei i pociechy. Blade usta szeptały modlitwę, — a myśl biegła do matki, do chaty...

Odwrócił głowę w bok i oczy utkwił w obraz... Stanął osłupiały. O kilka kroków od niego nad ziemią w jasnem świetle — stała jego matka cicha, uśmiechnięta z wyciągniętemi ramiony, ciepłemi oczyma, patrząc na niego — szeptała...

— Chodź do mnie... synu mój, kochany! Spocznij w mych ramionach... ja cię osłonię...

A on szedł... Targany wiatrem na wszystkie strony, wyciągnął ramiona do zjawy, trzęsącemi ustami modlił się do — matki. Mamo! — Myśl szybka wybiegła w przestrzeń. Mamo! — Jęczała mu dusza. Mamo! — szeptały bezsilne wargi...

A on szedł... Wiatr straszliwy rzucał jego postacią, tłumił mu oddech i wył... wył przeraźliwem wyciem, w którem raz śmiech puszczyka — to znów płacz niemowlęcia lub skarga starca dało się rozpoznać.

* * *

Aż wreszcie rozpętał się żywioł wichru z całą mocą piekielnego hałasu rzucił się na chłopca... Tu siły odmówiły mu posłuszeństwa. Klęknął na zaspie, oparł znękaną głowę — gorącą na głazie i patrzał w znikającą zjawę skamieniałemi oczyma.

A wiatr wył — wył, tłukąc niemiłosiernie gasnące życie jednego z tych biednych, opuszczonych w nędzy istot ludzkich...

...Bezwiedne ramiona chłopczyny objęły cichy, zimny głaz. Wsparły się nań zmęczone, duszące się i wynędzniałe piersi malca. Słabnące serce tłukło weń ostatnie swe akordy...

Mamo! Mamo! Wargi młodzieńca poruszyły się w ostatnim spazmatycznym szlochu, ramiona silniej objęły głaz potem wolniały... wolniały...

A wiatr wył. Mrożącym krew w żyłach, pastwił się nad konaniem chłopca, swemi smalącemi ramionami biczował ciało jego, młode w wiecznym śnie skute. Ten straszny wiatr na łonie swojem przyniósł mu zamieć i śnieżycę — jeden grób biały.

Naraz ucichło wszystko. Ustał wiatr zabójca, opadły ostatnie płatki śniegu i wielka cisza objęła świat.

* * *

Z nad wielkiej zaspy śniegowej zjawa kryształowa, bielsza od śniegu spłynęła w błękity. Wypłynęła między roje aniołów, do stóp Stwórcy, zanosząc mu swą nieskazitelną szatę duszy — małego męczennika.

A dokoła wielkiej zaspy, coraz większe zataczając koła, coraz szersze, jeden szept ogromny, jedno tchnienie konania wezbrało setkami uczuć, — to mamo!...

Jerzy Wojciechowski, kl. V. G.P.T.

Z wycieczki na Podole
Gimnazjum Związkowego.

Pamiętam, była śliczna noc lipcowa, kiedy 14-tu rwących się do życia chłopców, pragnących emocji i wrażeń żegnało Częstochowę, żegnało ją na przeciąg 15-tu dni, by w czasie tym podziwiać wspaniałe jary podolskie, by się napawać strzelistemi szczytami gór pasma czarnohorskiego, by przeglądać się przez kilka dni w ciszy toni wód dniestrowych, jadąc na łodziach. Kierownictwo tej wycieczki spoczywało w wytrawnych rękach p. prof. Hyli, który znojomością podróżowania przyczynił się w znacznej mierze do uszlachetnienia naszych dusz, chciwych nowszych widoków, który swem zachowaniem, prawie ojcowskiem wbił się głęboko w naszą pamięć i stał się nam bliższym i drogim. Celem naszej wycieczki było: zwiedzenie miejscowości górskich, leżących nad rzekami: Prutu — Worochty, Tatarowa, Jaremcza i innych, zwiedzenie Zaleszczyk, oraz przebycie pieszo całego pasma Czarnohory. Po drodze zwiedziliśmy Lwów goszcząc w jego murach przez 3 dni, by następnie rozpocząć właściwą podróż najuciążliwszą ale za to najprzyjemniejszą, obfitującą w wiele bardzo wesołych scenek, z których tylko kilka postaram się przedstawić, gdyż na opisanie wszystkich brak miejsca nie pozwala pisać.

Było to tak. Przybyliśmy do Stanisławowa, gdzie traf zrządził, że spotkaliśmy na plaży szefa Ligi Morskiej i Rzecznej opalonego do czarności, który to doradził p. profesorowi, aby dalszą podróż przebyć na łodziach. I tak się też stało. Część z nas nazajutrz odbiła z p. przewodnikami od brzegów Bystrzycy przepływającej przez Stanisławów. W tej to eskapadzie było nas 6-ciu, zgranych ze sobą, rozumiejących się dobrze i wychodzących z każdej sytuacji dość pomyślnie. Reszta pojechała do Niźniowa pociągiem, gdzie miała połączyć się z nami i jechać na tych łodziach do Zaleszczyk. Jazda kawalerska 6-stki godna jest wspomnień, bowiem gdy tylko odbiliśmy od brzegu natychmiast rozpoczęła się mordercza praca.

No to proszę sobie wyobrazić nas nie wiosłujących nigdy w życiu więcej ponad pół godziny — tam musieliśmy walczyć z żywiołem przez 17-cie godzin, by przebyć oznaczoną trasę wodną. Wreszcie po długiej, mozolnej pracy dojechaliśmy do upragnionego celu, ale jak dojechaliśmy i cośmy przeżyli w ciągu tej jazdy tego pisać nie będę; powiem tylko„ że przybyliśmy jak rozbitkowie Eneasza — przemęczeni, opaleni, z rękami odparzonemi od wioseł. Widok roztaczający się na naszej łodzi godny był politowania. I tak; jeden leżał na dziobie łodzi wyciągnięty udając, że go strasznie ząb boli, drugi płakał skarżąc się. że już ręką ruszać nie może, gdyż oparzenia sprawiają wielki ból, skoro tylko poczują wiosła, trzeci jak Eneasz wyglądał upragnionego lądu (misera bile visu). Były chwile, że już porzucaliśmy wiosła niezdolni do żadnego wysiłku, wtedy to łódz niosła nas sama z prądem rzeki. I kto wie, jak długobyśmy tak jechali, gdyby nie głos przewodnika: „Chłopcy chwyćcie za wiosła i w drogę. Jeszcze tylko godzina drogi do Nizniowa". Te słowa były bodźcem do odzyskania sił i niewiadomo kiedy wjechaliśmy do upragnionego portu z pieśnią na ustach na zasłużony wypoczynek — sen. Dalsze 3 dni jadąc podziwialiśmy najpiękniejsze polskie pejzaże. Polską Szwajcarję; wtedy to łódz posuwała się powoli, a oczy nie chciały oderwać się od cudów przyrody polskiej rozrzuconych na rubieżach naszej Rzeczpospolitej Polskiej. I te chwile spokoju — powagi zakłucane były wywoływanemi bombami śmiechu. Bo jakże się było nie śmiać, gdy jeden niespodziewający się niczego złego, leżał spokojnie na dziobie łodzi z twarzą wystawioną do słońca, opalał się, aż tu jak na złość przeszkoda — rafa podwod

na i wyskok pana jegomościa z łodzi jak procy. Wtedy to panowała radość, śmiech — aż huczało po jarach. Wreszcie Zaleszczyki, najpiękniejsza polska plaża, największa plantacja moreli, oraz najcieplejsze miejsce w Polsce.

Pobyt w Zaleszczykach 3 dni i dalsze podróżowanie po paśmie Czarnohorskiem, gdzieśmy na jednym szczycie byli świadkami niezwykłego wydarzenia. Oto wdzieramy się na szczyt Homiaka (góra gorganowa) na wyścigi jeden przed drugim, byle tylko być pierwszym i zatknąć u celu swój sztandar (w tym wypadku czapkę) pragnienie pali nam wnętrzności, ale my niezważamy na niedomagania organizmu, nas pcha chęć szybszego znalezienia się na szczycie. Wreszcie szczyt, a na nim ani na lekarstwo wody nie znajdzies,z a tu pragnienie bratku wżera się w ciało. Co robić, co robić? krzyczymy skacząc po skałach, jak wróble i wysączając puste manierki. W tej chwili trzeba się było spodziewać siły wyższej — cudu, a nie rzeczywistości pod postacią wody na takich wysokościach. Gdy w tem ku ogólnemu naszemu rozczarowaniu i uciesze oczom naszym przedstawiła się woda. Czy to było złudznie — nie — to była prawdziwa woda — deszczówka. Rzucamy się do jej źródła nie bacząc wcale na jego zewnętrzny stan i zawartość. Zresztą co to nas obchodziły robaki pływające, kąpiące się w deszczówce znajdującej w wydrążonej skale miejscu naszego ocalenia. Nam smakowała, leżeliśmy wszyscy wyciągnięci jak struny przed pucharem z kamienia, czerpiąc z niego rzeżwiącą ciecz. Po Homiaku byliśmy na szczycie Howerli, królowej pasma Czarnohory (2058 m.) na Szpeci, Popie Iwanie i na wielu pomniejszych szczytach. Tułaczka się skończyła, nastąpił oczekiwany powrót po 15 dniach przerzucania się kilka razy dzienne z jednego miejsca na drugie po zmienianiu prawie co noc noclegu. Gdzieśmy nie spali, cośmy nie użyli! na czem żeśmy nie jeździli tego nie da się w żaden sposób opisać — bo to jest za długie i niebardzo wesołe. Grunt żeśmy przyjechali cali, zdrowi opaleni i bez forsy, która w naszych „piterkach“ stawała się wartością lotną, szczególnie u tych którym smakowały bardzo morele. Tacy to przez kilka dni musieli płukać żołądeczki zwykłą, smaczną, wodą źródlaną. O i płukali kilka razy dziennie, ku ogólnej uciesze innych. A gdy się z nimi dzielono, oni jak bohaterowie dziękowali i jedli no, bo co mieli robić, z głodu umierać — też logika. A byli i tacy, którzy pochudli „bidaczki“, gdyż nie jedli codzień potraw gorących, ale za to przyjechali zdrowi z dobrym apetytem i opaleni. Naprawdę była to wycieczka jedna z największych wycieczek organizowanych na terenie m. Częstochowy, a zarazem była najryzykowniejszą ze strony p. prof. Hyli, którego dużo i to bardzo dużo pracy kosztowało, by ta wycieczka wypadła imponująco, korzystnie i okazale, za co należa Mu się słowa podziękowania. Bowiem wyycieczka wypałda imponująco, a uczestnicy jej przysporzyli sobie wiele wiadomości, zapoznając się z rubieżą naszej Ojczyzny, która wybiła u nas piętno miłości dla tych uroczych zakamarków polskiej ziemi.

Wł. Prószyński, Koło Krajoznawcze.

TURYSTYKA.

Wiele czasu upłynęło od chwili tej, gdy wielki Pol rzucił w swej nieśmiertelnej „„Pieśni o ziemi naszej“ hasło poznania ojczystego kraju i dopiero w ostatnich latach zaczęto je w czyn wcielać. Niedawno dopiero turystyka polska wyszła poza obręb rodzimych gór i działalnością swą kraj cały zajmować poczęła.

A jednak turystyka górska stała zawsze na pierwszem miejscu i na pierwszem stać będzie dlatego, że z pośród

cudów przyrody góry niezaprzeczenie wywierają na człowieka najsilniejsze wrażenie. Góry bowiem są poezją przyrody, są koncentracją tego, co w przyrodzie najpiękniejsze. W czyjej więc duszy tli się choćby iskierka poetyczności w czyjej więc piersi gra umiłowanie piękna, komu rozkosz sprawia pokonywanie trudów, a obrzydzenie jednostajny, bezbarwny tryb życia — ten lgnie do gór, kocha je i trudno mu żyć bez nich. A kto raz dostał się w ich moc czarodziejską ten z pod niej nie wydobędzie się nigdy, bo moc gór jest nieprzezwyciężona, bo piękno przyrody ma nad umysłami ludzkiemi niepokonalną władzę.

Turystyka stanowi jedną z najszlachetniejszych namiętności duszy ludzkiej, a grunt jej jest trwały, gdyż opiera się nie na chwilowych i przelotnych upodobaniach i kaprysach, lecz na podstawie niespożytej, na umiłowaniu piękna przyrody. W obcowaniu z piękną naturą wyszlachetnia się duch człowieka, tężeje jego charakter, pomnaża się sprawność i zasób sił fizycznych. Tam w górach uskrzydla się duch ludzki, uczucie kocha i tęskni goręcej, myśl pęd wichru przybiera. Tam zapomina o wszystkiem, co go boli i dręczy, tam znajduje balsam kojący na rozognione rany, na doznane zawody i łzy wylane.

Od burz, udręk i pychy od jadów tego świata bezpieczni jesteśmy w gór strefach obłocznych, gdzie panuje piękno, spokój i dobro, gdzie

„Oddalonemu od trosk ziemi
Zda się, że to niebieski próg...
Że stanął między wybranemi
Że tutaj mieszka — Bóg!“
(L. Anczyc).

Turystyka ma duże intelektualne i kulturalne znaczenie. Ona ćwiczy zmysł piękna, uczy krajoznastwa, przyrodoznastwa i geografji, lepiej niż książki, ona ćwiczy charakter, urabia zmysł śmiałości, samodzielności, pewności siebie, orjentacji w zawiłych sytuacjach, uczy rozwagi i odwagi.

Nie tylko hart ducha, ale i ciała mnoży turystyka; ćwiczą się w górach mięśnie, nabywając odporności stali, ciało nabiera zręczności i elastyczności, przyzwyczaja się do znoszenia niewygód poprzestawania na małem. Nie małe też posiada ona znaczenie ekonomiczne, a świadczy o tem najlepiej dobrobyt Szwajcarów i zamożność Szwedów, ostatnio pdnoszą nawet jej walory wychowawcze.

Jest więc wobec tego turystyka rzeczą bardzo ważną w życiu ludzkim i jako taka na szczególną zasługuje uwagę.

A gdzież ma się ona odbywać?

Wszędzie — po całej Piastów krainie, a w górach szczególnie.

Z lekkomyślnością naganną puściliśmy w zatratę polskie morze, braci naszych z poza gór wydaliśmy na łup wynarodowienia, czyż i tej garści gór naszych mamy się wyrzec? O, nie!

Idźmy tam, idźmy licznie do Tatr, Beskidów i niech tam u źródeł matki — Wisły, silniej od okrzyków „Heil Beskid!“ zabrzmi pieśń nasza:

„O święty kraju nasz,
Nie damy cię na łup!...“

W. Krysiński, Gimn. Związkowe.



Tańczyć! tańczyć! tańczy!!! Co dalej?



Znęca się na swem pianinie,
Więc „nagroda“ ją nie minie!



Czy wiecie co to za dama,
Z jakiej „budy“ i jak zwana?

KĄCIK DLA NAJMŁODSZYCH.

Z dziecinnych wspomnień.

Był kwietny kwiecień 1921 r.; wiosna już panowana w całej pełni cudowna, radosna i piękna, rojami kwiatów różnobarwnych i wonnych kwitnąca, złotem promienna, kaczyńców żółtością ponad wodami błyskająca, białemi kolkami im nęcąca oko, ona wiosenka, polska wiosna tchnieniem słońca promiennem owiana.

Zazieleniła, zakwieciła sady, łąki i pola, rojem świergotliwych śpiewaków skrzydlatych, co z za dalekich, sinych mórz za swą panią ukochaną przyleciały, gaje, lasy i bory napełniając.

Wiosna! Wiosna!

Szła przez kraj cały w swym triumfalnym pochodzie zwycięskim wraz z orszakiem swym kwietnym, smutek na radość zamieniając, dawno niewidziany uśmiech na usta ludzkie wywabiając, radość i wesele wszędy z sobą nosząc.

Aż nagle... Zaczęło się dziać coś okropnego.

Wśród tej wiosny wesołej, wśród pól i łąk kwitnących, wśród śpiewów i świergotów ptactwa zaczęło się dziać coś, co ludzi z wesołych niespokojnymi czyniło, co zadumę jakąś na twarzach ich osadzało, co grozę wszędy ze sobą nosiło.

Mieszkaliśmy wtedy w Wieluniu.

Pamiętam jedno piękne popołudnie; zbliżał się koniec kwietnia. Przez otwarte okna słońce wsypywało do mieszkania całe snopy swych promieni złocistych, za któremi uganiałem się po całym pokoju. Cisza panowała wokoło.

Wtem wbiegła matka wzburzona, z rozwianym włosem, bardzo czemś przerażona, czegoś wystraszona.

— Jezus, Marja! — krzyknęła od progu. — Nowa wojna!

Ojciec, który coś malował, spojrzał na nią badawczo i nic się nie odezwał; w dalszym ciągu kończąc swą pracę i usiłując udawać spokój, lecz od czasu do

czasu po twarzy jego przelatywały jakieś drgnienia.

— Śląsk? — rzucił lakonicznie.

— Śląsk! — odpowiedziała matka, padając na kolana przed obrazem Chrystusa, wiszącym na ścianie i zaczynając modlitwę. Po chwili wstała już zupełnie spokojna, Przysunąłem się do niej.

— Mamusiu! Co to jest wojna?

Spojrzała na mnie; wzięła na kolana.

— Ach, moje dziecko! Lepiej gdybyś niewiedział o tem — odparła i kilka łez stoczyło się po jej twarzy.

I wojna pozostała dla mnie tajemnicą, ale teraz już rozumiałem przez nią coś okropnego, coś co łzy z oczu wyciska nawet takim osobom, które przecież za swe trudy i prace zawsze szczęśliwemi być powinny.

Później pamiętam, że szedłem kiedyś z ojcem ulicą. Dzień był pogodny i słoneczny; na niebie ani jednej chmurki.

Nagle ujrzeliśmy, idący środkiem ulicy jakiś oddział: jacyś żołnierze, panowie, robotnicy. Prowadził ich oficer na białym koniu.

Wtem z okien, balkonów, w ulicy buchnęła na nich ogromna ulewa... kwiatów. Bzy, konwalje, narcyze, wszystko to obsypywało, zasypywało ich sprężyste postacie, a oni szli pośród tego deszczu kwietnego promienni, bohaterscy, nieugięci.

Był to oddział ochotników, pomieszanych z wojskiem, udający się na front.

Już przeszli; zginęli na zakręcie ulicy, a droga, którą szli cała jest obsypana kwiatami, jakby przed chwilą przechodziła nią procesja Bożego Ciała.

Poszliśmy dalej i po chwili skręciliśmy do parku, siadając na ławce obok starego zamczyska wieluńskiego, co to jeszcze czasy „króla chłopków“ pamięta, a które wówczas było zamienione na szpital wojskowy.

Siedzieliśmy chwileczkę w milczeniu, z rozkoszą oddając się błogiemu spoczynkowi, gdy nagle usłyszeliśmy warkot motorów i ujrzeliśmy kilka samochodów, zajeżdżających z rannymi przed zamek.

Straszny przedstawił się nam widok: okrwawieni, zakurzeni i brudni leżeli ranni, bez ruchu, bez jęku, zda się, że zmarli.

Nie mogłem patrzeć.

— Chodźmy stąd! — szepnąłem.

— Chodźmy! — odpowiedział również wzruszony ojciec.

Długi czas szliśmy w milczeniu, aż nareszcie usłyszałem jak ojciec rzekł sam do siebie:

— Straszną jest wojna i nie daj Panie, aby te ofiary poszły na marne!

Z któregoś znów dnia pamiętam matkę, przypinającą mi do ubranka dwa znaczki. Jeden był złoty z orzełkiem i jakimś napisem, który mi matka przeczytała: „Śląsk nasz! Tak nam dopomóż Bóg!“, a drugi mały, emaljowany, biały znaczek Czerwonego Krzyża. Znaczki te mam jeszcze i stanowią one dla mnie jedną z najmilszych pamiątek dzieciństwa.

Życie odtąd potoczyło się inne, pełne jakichś gróźb, niepokojów.

Aż niedługo skończyło się to wszystko.

I znów pamiętam jedno piękne popołudnie; wiosna panowała wciąż.

Siedziałem na kanapie w pokoju i oglądałem jakąś książkę.

Wszędzie była cisza. Zachodzące słońce zsyłało przez okna ostatnie, pożegnalne promienie.

Ojciec czytał gazetę, paląc papierosa.

Nagle usłyszałem dolatujące mnie z ulicy jakieś krzyki, hałasy, wiwaty. Obejrzałem się niespokojnie.

Wtem drzwi się otworzyły i na progu stanęła matka radosna, jaśniejąca, promienna.

— Śląsk nasz po wszystkie czasy!

— Daj to Boże! — odpowiedział poważnie mój ojciec.

I tak się skończyły one jedyne wypadki, z wojną związane, jakie pamiętam w swem dotychczasowem życiu, tak rozproszyły się te ciemne chmurki, zaciemniające czas pewien lata mojego dzieciństwa, które teraz zaczęło się szczęśliwe, radosne, anielskie.

A jakże inną jest ma teraźniejsza dola!

W. Jędrkiewicz, kl. IV-B. G.P.H.S.

DO MŁODYCH ŻEGLARZY.

Po życiowym oceanie
Wśród zebranych fal powodzi
Ile tylko siły stanie,
Płynie mnóstwo ludzkich łodzi.
Wśród ciemności i zamieci
Na dalekim cichym brzegu
Gdzieś płomyczek słabo świeci,
Tam też dążą łodzie w biegu.
Ale z łodzi tych tysiąca
Łódź to rzadka i szczęśliwa,
Co, wytrwawszy aż do końca,
Do przystani swej dopływa
Ach, jak dużo w morzu ginie!
Ach, jak wiele zbacza z drogi,
I na oślep gdzieś popłynie,
Aż ją porwie wir złowrogi.
Tutaj nazbyt sternik śmiały
Nierozważny jak to śmiałki,
Gdzieś na zdradne wleci skały
I rotrzaska łódz w kawałki.
Albo wicher spadnie nagle,
Gromem strzeli, pianą tryśnie,
Skruszy maszty, porwie żagle
Łódz osadzi na mieliżnie.
Jeśli chcesz żeglarzu młody,
Uniknąwszy skał gromady,
Znów przepłynąć życia wody
To posłuchaj mojej rady.
Jeśli chcesz być łodzi panem
To zrób serce kapitanem
A sternikiem rozum zdrowy
I do drogiś już gotowy!
Niczem wtedy tobie skały,
Niczem wir ci rozszalały,
Niczem wszystkie ci przeszkody,
Łódz twa wyjdzie cała z wody

Łukaszewiczówna, kl. II, Nazaret.

—)×(—

WIOSNA.

Zniknęła już bajka biała,
Co sobą świat ubierała,
Stroiła pola i lasy
W biało - srebrzyste swe krasy.
Wstawszy pewnego dnia z rana
Ze smutkiem odejść musiała,
Przez ciepłe słonko wygnana,
Hen, w światy gdzieś uleciała.
A na jej miejsce królewskie
Nowa wstąpiła władczyni,
Przetarła oczy niebieskie,
Jak cud — piękności mistrzyni!
A słonko, gdy je ujrzało,
Ciepłe rzuciło promienie,
A wszystko wokół co spało
Przerwało swoje uśpienie.
Zielone pączki wyjrzały,
Czując nowinę radosną,
Bo też przywitać się chciały
Ze swą czarodziejką — wiosną.
Kiedy ranna zorza błyśnie,
Wieśniak z pługiem w pole ruszy,
Nad nim skowronek zawiśnie,
Aż raduje mu się dusza.
Skowroneczek śpiewa, śpiewa,
Tę piosenkę swą radosną,
Przytem wtórują mu drzewa:
„Cieszcie, ach cieszcie się wiosną!“

Krysia Święcicka, kl. II-b G. P. J. S.

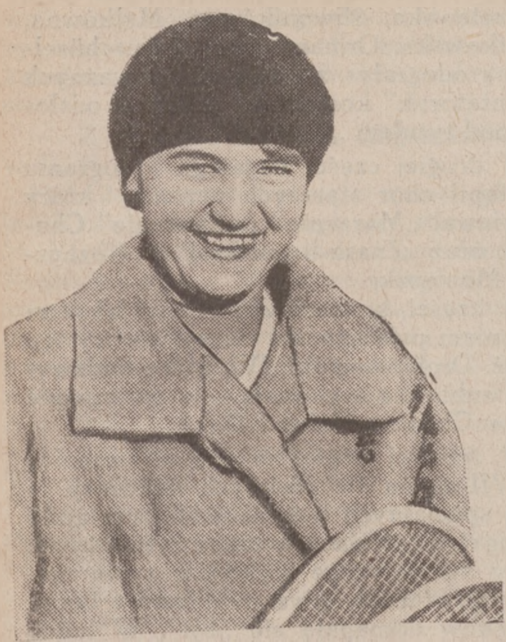
WIADOMOŚCI BIEŻĄCE.

— Od Redakcji.

Zebranie Komitetu Redakcyjnego odbędzie się dnia 10 kwietnia o godz. 17,30. Zebranie Kierowników Działów dnia 24 kwietnia po świętach wielkanocnych o godz. 17,30.

Na ostatnim zebraniu Komitetu Redakcyjnego — delegaci wybrali przybocznych w pracy redaktora kol. K. Duszyńskiego (G.P.R.T.) i kol. Jędrkiewicza (G.P.H.S.), którzy mają zaznajomić się dokładnie z pracą redaktorską, by w przyszłym roku szkolnym „Świat Szkolny“ miał kandydatów na stanowisko Redaktora już obznajmionych dokładnie z obowiązkami.

W „Wiadomościach Bieżących“ do recenzji z wieczorku w „Związkówce“ wkradła się pewna nieścisłość, którą Redakcja prostuje: Rysunki i sylwetki na ścianach wykonane były nie przez ucznia kl. IV-ej, lecz przez uczniów kl. VI-ej.



Nasza pierwsza rakieta p. Jędrzejowska zdobyła niedawno tytuł mistrzyni Londynu.

— „Porucznik I Brygady" sztuka w 3-ch aktach, Stefana Gozdawy-Wiecheckiego, odegrana przez uczniów państwowego pimnazjum im. R. Fraugutta w sali gimn. im. H. Sienkiewicza w Częstochowie.

Z okazji przypadających (w dn. 19.III b. r.) Imienin Wielkiego Budowniczego Polski Niepodległej i Jej Pierwszego Marszałka Józefa Piłsudskiego, Samopomoc Uczniowska przy gimn. im. R. Traugutta, wystawiła piękną i wielkiem powodzeniem cieszącą się sztukę żołnierską, Stefana Gozdawy - Wiecheckiego, p.t. „Porucznik I Brygady".

Sztuka ta, oparta jest na motywach bohatersskich bojów legjonów o wolność w latach 1918—1920, na wschodnich rubieżach Rzplitej Polskiej, a zarazem jest odzwierciadleniem gorącej i wielkiej miłości dwojga kochających się istot (serc), a mianowicie: Janki Lubińskiej, córki urzędnika państwowego w Warszawie i jej narzeczonego Wacława Krzyskiego, porucznika I Brygady.

Rolę główną w tej sztuce, to jest rolę Janki, odtworzyła znakomicie panna H. Maszczyńska, która głęboko wczuła się w swą rolę i włożywszy w nią wiele uczucia i inteligencji, wspaniale oddała typ kochającej Janki, ciesząc się z tych względów wielką sympatją u publiczności. Nie gorzej wypadł jej partner kol. J. Rudlicki, który miał odegrać role dzielnego porucznika, a zarazem i amanta, co, mówiąc nawiasem, znakomicie mu się udało. Niemniej pięknie i dobrze kreowała swą rolę panna K. Certowiczówna, przedstawiając wybitny i pełen nastrojów budzący obraz rozmowy komendanta z mieszczanką - szpiegiem. Następnie panna J. Adamusówna, z wrodzonym jej temperamentem odegrała z tupetem rolę uwodzicielskiej warszawskiej pensjonareczki, naiwnie flirtującej z wesołym porucznikiem Staszkiem Strzałą (kol. M. Organa). Z pań również i panna Lempkówna odegrała dobrze rolę sąsiadki.

Z plejady ról męskich, wymienić tu należy na pierwszem miejscu, osobę kol. J. Nira, który według opinji powszechnej— wypadł znakomicie, w roli p. Lubińskiego, przeciętnego urzędniczyny warszawskiego, zyskując sobie przez to ogólne uznanie, a zarazem częste i huczne oklaski.

Dalej zaprezentował się znakomicie kol. Z. Parzniewskiej, w roli komendanta I Brygady, nie dając jednak z siebie wszystkiego, czego od niego oczekiwała publiczność, lecz tłumaczyć to trzeba jego chwilą niedyspozycją psychiczną. Za to kol. M. Organa grał nadzwyczaj dobrze i swobodnie rolę Staszka Strzały, serdecznego przyjaciela Wacława Krzyskiego, a swemi żołnierskiemi piosenkami, budził ogólną wesołość na sali Dalej kol. J. Grynkiewicz grający z zapałem i werwą rolę beztroskiego leguna, wyróżnił się przeważnie jako znakomity odtwórca „morowych" piosenek żołnierskich, które w gronie publiczności znalazły swój właściwy oddźwięk, wywołując od czasu do czasu huragan śmiechu i oklasków.

Charakterystyczną rolę Aleksandra Iwanowicza Frosimowa, urzędnika kancelarji Jenerał-Gubernatora, odtworzył

nadwyraz dobrze kol. W. Dąbkowski, dając zupełne złudzenie prawdziwego Moskala „z krwi i kości". Na specjalne wyróżnienie zasługują ponadto koledzy: W. Jurczak, T. Osmęda, R. Zaskórski, J. Wojciechowski i inni, znakomici odtwórcy pozostałych ról, męskich, wykazujący dobitnie swoje wysokie walory artystyczne, oraz sceniczne w tym kierunku.

Kierownictwo artystyczne tej sztuki spoczywało w doświadczonych rękach znanego reżysera i artysty p. Sulimy-Sulikowskiego.

Dodać należy, iż przedstawienie to cieszyło się wielką frekwencją publiczności, która i tym razem nie zawiodła swych nadziei, co do artystycznej strony gry uczniów II Gimnazjum, którzy chlubnie i zaszczytnie podtrzymują świetną tradycję aktorską „minionych pokoleń" Spec.

— **Akademja w sali Straży.**

Młodzież gimnazjum P. im. R. Traugutta urządziła uroczystą akademję dla Miejskich Publicznych Szkół Dokształcających Zawodowych, w dniu 19 marca, z okazji Imienin Marszałka Józefa Piłsudskiego. Na wstępie orkiestra gimnazjalna odegrała hymn państwowy. W krótkiem lecz treściwem przemówieniu skreślił kol. K. Duszyński wskazania Marszałka względem młodzieży, i wykazał, że jedynie jedność, wspólne zrozumienie dobra Państwa oraz wspólna idaje mogą zcementować nasze społeczeństwo i poprowadzić je ku jaśniejszej przyszłości. Należy podkreślić doskonałe podejście do nowego zupełnie tematu, oraz serdeczność jaką nacechowany był cały referat. W dalszym ciągu programu deklamowali koledzy: Osmęda (VI), Stolarczyk i Sulikowski (III), dając słuchaczom wielkie zadowolenie, które wyraziło się hucznemi oklaskami. W części wokalno - muzycznej, orkiestra G. P. R. T. pod dyr. p. prof. Wopaleńskiego odegrała polonez Chopina, Tańce węgierskie Brahma i na zakończenie tej uroczystości „Brygadę".

— **Impreza w „Nazarecie".**

W dniach 25-go i 26-go marca dorocznym zwyczaem w gimnazjum SS. Nazaretanek odbyła się impreza. W pierwszej części programu uczenice klasy III-ej: Kurzelewska, Śliwonikówna, Malkówna, Centkowska, Ormanówna i Reimschüsellówna odegrały z minami poważnych „mentatorek" komedyjkę w jednej odsłonie pod tytułem „Komitet".

W drugiej części bogatego programu wystąpił chór starszych uczenic, który odśpiewał „Marzenie" i „Życzenie" Chopina, oraz „Znasz-li ten kraj" i „Kozaczka" Moniuszki.

W części koncertowej z największem uznaniem publiczności cieszył się występ koleż. Drobiówny (kl. IV), która nadzwyczaj subtelnie wykonała na fortepianie walce Chopina H-dur i D-dur.

W trzeciej części programu uczenice kl. VII-ej, na tle pięknych dekoracji i przy specjalnych iluminacjach, wystąpiły w bogatych strojach w tańcu rytmicznym, który sympatyczne wykonawczynie musiały powtarzać, gdyż publiczność burzą oklasków domagała się „bis". W tańcu tym na specjalne wyróżnienie zasługują koleżanki: K. Dębska i H. Wichurzanka.

Wesołość i humor wprowadziła na salę kol. Tarnowska (kl. VII) swym monologiem „Pani Pompalińska". Tak dowcipnie ułożonego monologu i swobodne wypowiedzenie jego może pozazdrościć utalentowanej kol. Tarnowskiej niejeden artysta...

Taniec lalek w wykonaniu przedszkola wywołał na sali burzę oklasków. Pięknie tańczyły najmłodsze koleżanki budzone za dotknięciem różdżki czarodziejskiej, a już najlepiej chyba spisała się koleżaneczka Grabarska.

W czwartej części programu wystawiono komiczny obrazek sceniczny p. t. „Szkatułka Pani Skąpskiej". Wykonawczyniami ról były koleżanki: Janusówna (VIII) — p. Skępska, Sawkówna (VII) — jej siostrzenica, Tarnowska (VII) — kucharka.

Impreza cieszyła się dużem powodzeniem i należy ją zaliczyć pod względem przygotowania się starannego i wykonania, do jednej z najlepszych w tym roku imprez szkolnych młodzieży. Szkoda tylko, że mało było na sali uczenic i uczniów z innych zakładów naukowych, których zapewnie odstraszyły „niekryzyso-

we" ceny biletów. Organizatorki imprezy, winny ją powtórzyć dla koleżanek i kolegów, pamiętając jednakże o kryzysie.

— Z obchodu ku czci Rogozińskiego w G. P. J. S.

Dnia 24 marca odbył się w naszej szkole ciekawy obchód, urządzony staraniem kl. VI, ku uczczeniu pamięci podróżnika Rogozińskiego w 50 rocznicę jego wyruszenia do Kamerunu. Na początku obchodu kol. Grabinerówna wygłosiła referat o znakomitym polskim podróżniku Rogozińskim i jego I-ej podróży do Kamerunu. Następnie kol. Grzędzińska zadeklamowała nadzwyczaj oryginalny wiersz K. Wierzyńskiego p. t. „Podróż do Afryki". Pięknie wypowiedziała również kol. Lipska wiersz Tetmajera p.t. „Wschód słońca na morzu". Najlepszym numerem programu była deklmacja kol. Karolczykówny, która wypowiedziała wiersz p.t.: „Stary Rybak". Deklamacja wywarła na słuchaczach silne wrażenie, ponieważ wykonawczyni odtworzyła wiersz z wielkiem uczuciem.

Program urozmaicił śpiew uczenic kl. VI. Chór wykonał pieśń: „Choć burza huczy wkoło nas", a na zakończenie obchodu „Hymn morza".

Obchód ten miał na celu zarówno uczczenie pamięci wielkiego podróżnika. jak i podkreślenie ogromnego znaczenia ruchu kolonizacyjnego dla Polski.

H.—O.

— Z akademji ku uczczeniu imienin Marszałka Piłsudskiego w G. P. J. S.

Dnia 18.III 33 r. ku uczczeniu imienin I-go Marszałka Polski Józefa Piłsudskiego odbyła się w naszej szkole uroczysta akademja urządzona staraniem Koła Pracy dla Państwa przy naszem gimnazjum. Akademja stała na bardzo wysokim poziomie. Obchód rozpoczęła kol. Rałówna, która w doskonałym referacie przedstawiła trud życia Marszałka, przytem najsilniej podkreśliła jego działalność po 1926 r. to znaczy po przewrocie majowym. Po referacie p. Kozielewska wygłosiła krótkie, okolicznościowe przemówienie. Na program akademji złożyły się deklamacje solowe i chóralne, oraz śpiew. Muzyczne numery programu wykonała kl. VII, która odśpiewała „Wiązankę pieśni legjonowych" i pieśń p. t. „Cześć Ci Komendancie". Kol. J. Nanysówna wykonała pieśń p. t. „Do Komendanta".

Pięknym numerem programu była deklamacja chóralna. Uczenice kl. VI wykonały z uczuciem nastrojowy wiersz p.t. „Ostatni raport". Do urozmaicenia programu przyczyniły się również deklamacje solowe. Wszystkie wiersze były bardzo dobrze wybrane i odpowiadały ogólnemu nastrojowi akademji.

Wśród wykonawców na wyróżnienie zasługuje kol. B. Siwczyńska, która z mocą i z uczuciem zadeklamowała przepiękny wiersz Lechonia p. t. „Piłsudski". Akademja zakończyła się odśpiewaniem przez wszystkie uczenice „Marsza Legjonów".

Nastrój akademji był tym razem bardzo podniosły i uroczysty.

Trzeba również podkreślić piękną dekorację sali. H.-O.

— Z przedstawienia w I gimnazjum.

Dnia 15.III 33 r. w sali G. P. H. S. odbyło się przedstawienie urządzone staraniem „Tow. Opieki nad zwierzętami".

Przedstawienie to o charakterze rewji miało na celu popieranie towarów krajowych. Pierwszy numer, luźno tylko związany z ogólnym charakterem programu zasługuje jednak na wyróżnienie ze względu na jego dużą wartość artystyczną. Była to mianowicie pantomina p.t. „Zima odchodzi, wiosna nadchodzi", wykonana przez uczniów i uczenice szkoły p. Folfasińskiej. Podziw mogły wzbudzić zwłaszcza śliczne i bardzo efektowne stroje.

Drugim numerem programu była komedyjka p. t.: „Popierajmy przemysł krajowy". Miała ona charakter wybitnie propagandowy. Mimo bardzo niewyszukanej i płytkiej treści odegrana została jednak bardzo dobrze przez uczenice kl. VI G. P. J. S. Z dużą werwą grała zwłaszcza kol. S. Lipska.

Na program przedstawienia złożyły się oprócz tego tańce, wykonane przez uczenice G. P. J. S. Dobrze wypadł numer p.t. „Reklamy". „Reklamy" tańczyły w bardzo efektownych strojach poloneza.

Ładnie również tańczyły „ryby“ w strojach naśladujących doskonale połyskliwą łuskę rybią.

Miłym numerem był taniec myszek „miki“. Każda z nich trzymała w łapce dużą tablicę z nazwą uzdrowiska polskiego.

Ostatnim może najlepszym numerem był taniec pajaców. Podobał on się tak bardzo, że wykonawczynie musiały bisować.

Wyreżyserowaniem przedstawienia zajęła się jak zwykle p. Miziukowa. W rewji tej conferencier'kę prowadziła z dużą werwą i humorem kol. Świdrówna.

Przedstawienie było imprezą zupełnie udaną. H.-O.

— **Z Akademji Sodalicyjnej.**

Dnia 25 marca w sali Straży Ogniowej odbyła się uroczysta Akademja ku czci św. Kazimierza, urądzona przez Sodalicję Państw. Gimn. im. R. Traugutta. Na wstępie chór uczniów klas niższych z towarzyszeniem orkiestry gimnazjalnej odśpiewał hymn sodalicyjny, którego zebrana publiczność wysłuchała stojąc. Dalej, krótkiem słowem wstępnem, sod. Torosiewicz, kl. VIII, wprowadził zebranych w odpowiednio uroczysty nastrój, poczem ten sam chór wykonał dwie pieśni religijne. Z kolei p. H. Motylówna odśpiewała z uczuciem „Modlitwę do Matki Boskiej“ — Adama i „Ave Maria“ — Gounoda. Młoda śpiewaczka spotkała się z ogólnem uznaniem publiczności, która nagrodziła ją niemilknącemi oklaskami. Sod. Kostarczyk, kl. VII wygłosił referat p. t. „Istota miłosierdzia chrześcijańskiego“, w którym wykazał, iż Bóg jest jedynem źródłem tego miłosierdzia, oraz, że obowiązkiem naszym jest spełniać je w imie miłości Chrystusa, bo zgłodniały nędarz wyciągający do nas rękę po jałmużnę, to sam Chrystus cierpiący na krzyżu, wołający do nas „Bądź miosierny“.

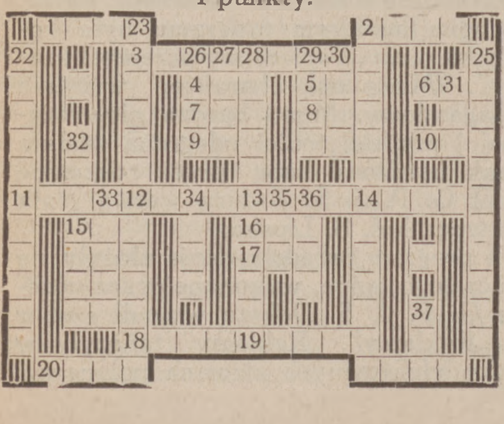
Aspirant Grzędziński, kl. IV wypowiedział ładnie „Orędzie Jasnogórskie“. Po przerwie uczeń kl. VII B. Krupiński zadeklamował z wielkiem uczuciem trudny wiersz Laskowskiego „Ostatnia szarża“ P. H. Motylówna odśpiewała mazurka Kratzera — „Skrzypce — swaty“ i „Serenadę“ — Schuberta, zyskując sobie znowu huczne brawa. Wreszcie orkiestra symfoniczna uczniów Gimnazjum odegrała „Polonez As - dur“ — Chopina „Serenadę“ — Tosselli'ego i fantazję z op. „Verbum nobile“ — Moniuszki. Publiczność opuszczała salę w podniosłym nastroju, bo rzeczywiście prawdziwą ucztę duchową zgotował zarząd, Sodalicji, urządzając powyższą Akademję.

DZIAŁ ROZRYWKOWY.

Ułożyli: „Otello“ i „Harry“.

KRZYŻYKÓWKA ŚWIĄTECZNA.

4 punkty.



Znaczenie wyrazów: Poziomo: 1. Wyspa na Nilu, 2. Siedmiobarwna bogini grecka, posłanka bogów, 3. Odroczenie, zawieszenie, 4. Imię żeńskie, 5. Ludzie fon., 6. Słaby, nieożywiony ruch handlowy, 7. Rodzaj papy, 8. Miejscowość w Alzacji, 9. Trzy samogłoski. 10. Ptak australijski (wsp.), 11. Oddzielnie, nad liczbę w „jęz. martwym“, 12. Krewny z linji męskiej, 13. Rodzaj tańca, 14. Miasto japońskie, 15. Inna nazwa Hadesa, 16. Tamto in., 17. Nabiał, 18. Pokój do przyjęć, 19. Punkt sfery niebieskiej, przeciwległej zenitowi. 20. Uczeń, 21. Księga podań skandynawskich.



Żubry w puszczy białowieskiej.

Pionowo: 22 - 23 - 2 - 25. Aktualne rozwiązanie. 13. Rzeka w Szwajcarji, 26. Herbata paragwajska, 27. Pojęcie, myśl, 28. Koń maści mieszanej, 29. Wpust, wcięcie (wsp.), 30. Sąd przysięgłych. 31. Ramię w „jęz. obcym", 32. Bogini fenicka, siostra Wielkiej Bogini minojskiej, 33. Stowarzyszenia producentów, celem utrzymania cen. 34. Jezioro pod Rzymem, 35. Imię żeńskie (wsp.), 36. Prowincja starożytnego Rzymu, 37. Miara wagi.

SZARADA.

2 punkty.

„Piewsza" wspak jest w alfabecie,
„Drugą" też tam znajdziecie,
„Trzecia" wspak to polska rzeka,
A do „całości" oskarżony się ucieka.

REBUSIKI LITEROWE.

2 punkty.

1. 60 | N (wsp)   2. H / ⅂   3. 100 Ł | A

4. L⊥ | E   5. R⊥ | GN (wsp)   6. ⅂ | nuta K

SPRÓBUJ DODAĆ.

4 punkty.

Spółgłoska + imię żeńskie + liczba + peota polski = Miasto na półw. Krymskim.

Miara dł. + litera fon. + samgołoska = Utrzymanka.

Litera fon. + część ciała zwierzęcego + zaimek osobowy — Rodowód bóstw starożytnych.

Mężczyzna + zaimek + imię męskie. = Imię męskie.

Za zdobycie największej ilości punktów Redakcja przeznacza 3 nagrody książkowe.

Za zdobycie największej ilości punktów z Nr. 3 „Świata Szkolnego" Redakcja przyznaje I-szą nagrodę kol. Kosskowi (G.P.H.S.), II-gą — kol. Stysińskiemu (G. P.H.S.), III-cią — kol. Kuźnickiemu (G. P.H.S.)

ROZWIĄZANIE ZADAŃ z Nr. 3.

Szarada Sylabowa:

Józef Piłsudski.

1. **J** U N D Z I **Ł**
2. **O** R T E L I U **S**
3. **Z** A L A **U**
4. **E** L L E S M E R E L A N **D**
5. **F** R I G I D U **S**
6. **P** O N I **K**
7. **I** G N O R A N T Y M **I**

Arytmograf:

Czytajcie i rozpowszechniajcie „Świat Szkolny".

Gdzie oni mieszkają?

Krasny Staw. — Podwołoczyska, — Inowrocław. — Jarosław. Białystok.

Depesza:

Jak Pan Bóg dopuści, to i z kija wypuści.

Redakcja umieszcza poniższy list z uwagi na korzyści jakie odda koleżankom i kolegom.

Do Redakcji.

W nr. 3 „Świata Szkolnego" w dziale rozrywkowym była umieszczona „Depesza", którą autor niniejszej „ściągnął" z nr. 8 warszawskiego miesięcznika: „Kronika Ciekawych i Pożytecznych Wiadomości" (nr. listopadowy 1932 r.) zmieniając tytuł: z „Łamigłówki literowej" na „Depeszę". Autorem owej „Łamigłówki literowej" a tem samem i „Depeszy" jest p. J. S. z Chełma. Wobec powyższych danych, proszę o umieszczenie mojej pracy.

JAK SIĘ TO „ROBI" SZARADY.

Poświęcam autorowi „Depeszy"

Raz się pytały młode dziewoje:
Jak to ja robię szarady moje,
Które dla ucha ich brzmią tak mile,
I skąd ja biorę pomysłów tyle?
I jak znaczenia ja do nich szukam?
Czy to jest trudno, czy wielka sztuka,
Że się to wszystko w głowie nie zgmatwa?..
O nie! słuchajcie: to rzecz tak łatwa!..
I niema nawet w tem dużej męki:
Biorę warszawską „Kronikę" do ręki,
W której szarady już są gotowe,
(Bo poco łamać mam sobie głowę),
A później zmieniam tytuł szarady,
I całość gotowa, bez czyjej rady.
A więc widzicie, że nic trudnego.
Potem posyłam do „Świata Szkolnego"
Gdzie wnet zadania „moje" drukują,
A miłośnicy je rozwiązują.

Z wysokim szacunkiem dla Redakcji kreślę się

Ch. Stysiński (G.P.H.S).

Kurator: **Dr. H. Płodowska.** Red. odp. kol. **A. B. Charłoziński.**

Korespondencje nadsyłać pod adresem Redaktora kol. **A. B. Charłozińskiego,** II Gimn. Państw., Aleja Wolności 13.

Zakłady Graficzne F. D. Wilkoszewskiego w Częstochowie, III Aleja 52, tel 2-45.